

QUILLER COUCH.

## SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacja z angielskiego.

8)

— Tomaszu, jak śmiesz?... Chciałabym wiedzieć kto cię tego nauczył? Powiedziałabym mu w oczy, co o nim myślę!

— Nauczył mnie stryj — rzekł Tomcio z miną niewiniątka.

Po takiej odpowiedzi zaległa w pokoju głucha i przykra cisza, którą przerwałem, prosząc o pozwolenie odejścia. W prośbie mojej znalazła ciotka środek pozbycia się swego przesiadowcy.

— Tomaszu, możesz pójść z Kaspem do Lantrig. Trochę ruchu przyda ci się bardzo.

— Możeby mi się i przydał, stryjenko, lecz...  
— Nie rezonuj, tylko idź! Jak ci się zdaje, gdzie pójdą mali chłopcy, poddający się nałogowemu próżniactwu?

— Spać — mruknął pod nosem Tomek.

— Za taką odpowiedź dziś jeszcze wieczorem, nim się położysz do łóżka, nauczysz się na pamięć całego poematu doktora Watts o lenistwie.

Po tych słowach Tomasz, nie kwapiąc się zbyt, wstał powoli z miejsca, wziął swoją czapkę, leżącą na krzeselku, stanął naprzeciw ciotki Elżbiety i uroczystym głosem recytować zaczął melancholijny poemat. Gdy doszedł do ostatniego wiersza, zbliżył się do drzwi, uklonił się poważnie i wyszedł. Przejęty podziwem, ruszyłem za nim.

Dotąd straszny niepokój o matczkę tak całkowicie myśl moją zaprzętał, że wszystko co i o czym mówiono, zając mnie nie mogło, lecz wobec niezwyklego i niespodziewanego popisu pamięciowego Tomasza, uznałem za właściwe złożyć mu moje powinszowanie.

— Ba! — odparł — tyle razy czytała mi cały poemat, że musiałem nauczyć go się na pamięć mimowoli. Nienawidzę doktora Watts, a spać lubię. Miewam takie sny śliczne! Sądzę, że stokroć przyjemniej jest spać niż czuwać. Nieprawdaż?

Tym razem i ja zgodziłem się na wypowiedziane przez niego zdanie, bo po dwóch nocach bezsennych upadałem ze znużenia.

— Takie śliczne sny miewam, gdy śpię — powtórzył Tomcio z przekonaniem — a rzeczywistość w życiu wydaje mi się okropnie nudna i smutna. Gdyby przynajmniej spotykały mnie jakieś nadzwyczajne przygody...

Przygody nadzwyczajne, w ciągu dwu ostatnich nocy, tak strasznie dały mi się we znaki, że milczałem.

Doszliśmy już właśnie do gościńca. Postyszałem za sobą turkot kół, więc się obróciłem. Zbliżał się do nas lekki kabriolet z jedną tylko siedzącą w nim osobą. Gdy powożący zrównał się z nami, zawołał:

— Hola, malcy! czy to jest droga wiodąca do Polkimbra?

Był to niskiego wzrostu jegomość, o krótko przyszytych, szpakowatych włosach, wyglądający na marynarza, z twarzą pocziwą i rumianami ustami, na których igrał uśmiech dobrodusznego. Powoził fatalnie.

Odpowiedziałem mu, że gościńiec, po którym jedzie, jest właśnie najbliższą drogą.

— Czy i wy żeglujecie do tego samego portu? Jeśli tak, to siadajcie. Przetrzęsę was trochę.

Spojrzałem na Tomka. Naturalnie gotów był na wszystko, co oszczędzało mu fatygi. Więc wsiedliśmy do kabrioletu. Gdyśmy ujechali kilkanaście metrów, szpakowaty jegomość zwrócił się do nas:

— Jak styszałem, rozbił się tu wczoraj na waszym wybrzeżu jakiś statek, poczem odbyło się śledztwo, na którym ogłoszono całą furę kłamstw...

Drgnąłem całym ciałem.

On nie spostrzegł tego i mówił dalej:

— Może i wy styszeście coś o tem? Na naszym głupim świecie niejeden kłamać lubi, lecz nie spotyka się codziennie tak beczelnego łgarza, jak ów drab... Jakże się on zowie?... Niech mnie porwą dyabli, jeśli rozumiem dlaczego kłamał, lecz że kłamał, to ja na to włożę rękę w ogień...

Słuchałem pilnie. On zaś zdawał się mówić raczej do siebie, niż do nas.

— Nadzwyczajny łgarz!... Chociaż, pytam się siebie, do czego kłamstwo posłużyć mu miało, bo z tego nie zdaję sobie sprawy zupełnie. Statek „James i Elżbieta“, o którym bąkał, jest zdrowy i cały, a twardy jak żelazo. A jednak, daję słowo, że człowiek, który wiadomość o jego rozbiciu przyniósł

do Folmuth, nie miał miny człowieka, strojącego żarty. Nie znał mnie nawet, więc był dyabło zdziwiony, gdy się oburzyłem. „Jak tu żyw jestem — zapewniał — że ów drab mówił o Jamesie i Elżbiecie“. Chłopcze! czy nie wiesz przypadkiem, jak zwał się statek, który w ciągu przedostatniej nocy krążył około waszego wybrzeża?

Już się poniekąd przyzwyczaiłem do straszego, kilkakrotnie zadawanego mi pytania, więc ile tylko mogłem, najśmielej odpowiedziałem:

— Proszę pana, „James i Elżbieta“.

— A nazwisko jego kapitana?

— Antoniusz Merrydew.

— Biedaczysko! Leżał podobno chory w swojej kabinie, gdy statek się rozbijał, nieprawdaż? Była z nim również jego żona... i dziecko, które urodziło się w czasie podróży. Zasłabł w zatoce Biskajskiej, jak pierwszy lepszy lądowy ciemięga, nieprawdaż? Daję słowo, istna komedia, a nawet, niech mnie dyabli porwą, milion razy ciekawsza od tych, które grywają w teatrach!

Mówiąc to wybuchnął głośnym śmiechem i walił się dłonią po udach, aż cała twarz pocziwa oblała mu się ponsem.

— Co myślisz o tem, mój mały? He! cudowna krotchwila! Czy kto słyszał coś podobnego?! Kapitan Antoniusz Merrydew zachorował w zatoce Biskajskiej! Ho, ho! Nie znam zabawniejszej farsy!

— Więc, proszę pana, czy w tem wszystkim nie było prawdy?

— Prawdy?! A niechże cię Bóg ma w swojej opiece, moje dziecko! Spójrz mi w oczy. Proszę cię bardzo, spójrz mi w oczy, a potem zapytaj znów, czy to była prawda?

— Nie rozumiem dlaczego by nie miała być...

— Bo ja właśnie jestem kapitem Antoniuszem Merrydew.

Wobec tego oświadczenia, milczałem już w ciągu całej dalszej drogi.

Tom, siedzący przy mnie, wydawał się tym razem całkiem rozbudzony, przekonany był bowiem, że teraz nareszcie czeka go jakaś przygoda. Ja zaś, niestety, czułem się ogarnięty przez znużenie i senność. Wysłuchałem wprawdzie resztę opowiadania kapitana, lecz z powodu owej senności nie dobrze je zrozumiałem. Dowiedziałem się tylko, że po szybkiej podróży z Ceylonu do Folmuth, na statku „James i Elżbieta“ przybył on w sam czas, by usłyszeć, jak mówiono o potwornym kłamstwie, które go oburzyło, bo nietylko nie był żonaty, lecz nigdy w życiu nie chorował. Aby wyświecić podejrzaną, a może i złowrobną historię, postanowił udać się do Polkimbra i w tym celu wynajął konia i kabriolet. Przyczem twierdził, że koń jest najbardziej upartym stworzeniem wśród wszystkich stworzeń, a kabriolet najniewygodniejszym środkiem lokomocyi. Wszystko to zaś wygłaszał przy akompaniamencie przeróżnych przekleństw i licznych wykrzykników.

Prawdopodobnie słyszałem całe opowiadanie, bo pamięć odtworzyła mi je później, lecz w danej chwili odbijało się o moje uszy, bez wywoływania silniejszego wrażenia. Ostatnie wypadki obu nocy grozą swoją wypełniały mój mózg biedny, tańcząc w nim jakąś straszną, piekielną sarabandę.

Nakoniec po „lawirowaniu“ dość długiem, „wyładowaliśmy“ w Polkimbra, „zarzucając“ ostatecznie „kotwicę“ przed karczmą. Tam obaj z Tomaszem zeskokczyliśmy z kabrioletu i podziękowawszy uprzejmie kapitanowi, pozostawiliśmy go gestykulującego zawzięcie i wołającego krzykliwie na parobka, uwiązającego się po stajni, żeby przyszedł wyprząż konia. Wesoły głos jego rozlegał się donośnie. Styszelśmy go jeszcze, gdyśmy dochodzili już do wybrzeża.

Postanowiliśmy skrócić sobie drogę i dostać się do Lantrig, idąc pod ścianami skał, sterczących nad zatoką Gotowych Pieniędzy. Zatoka budziła w umyśle moim okropne wspomnienia; sam nie ośmieliłbym udać się tamtędy, lecz obecność Tomasza dodawała mi odwagi.

Tom był stokroć raźniejszy i znacznie bardziej ożywiony niż zwykle. Stał się nawet rozmowny. Wychwalał kapitana, podziwiał każde słowo przez niego wyrzeczone i oświadczył mi wesoło, że czuje jakąś przygodę w powietrzu. Wyprostował się, wznosił głowę w górę i poruszał nozdrzami, jakby zapowiedź czegoś nadzwyczajnego drażniła istotnie jego powonienie.

Tak, niestety, czekała nas przygoda, lecz jakże smutna i bolesna dla mego biednego serca!

Myśl o matce, pozostawionej w domu w stanie oplakanego rozstroju, nie pozwalała mi podzielać zapału miłego towarzysza. Więc, gdy on, rozgorączkowany nadzieją, przemawiał wesoło, ja chmurny i smutny, ledwie się wlokłem po piasku wybrzeża.

Było już blisko południa. Ciepły dzień październi-

kowy wydawał się niemal dniem letnim. Słońce uśmiechało się pogodnie nad ziemią i morzem. Lekki wiaterek pędził ku wschodowi kilka wełnistych obłoków, a fale tańczyły i szemrały pod jego podmuchem. Słony ich zapach drażnił węch, a refleksy oziębłego słończnymi promieniami piasku, raziły nam oczy. Jedną tylko Skałą Umarłego, jak zawsze ponurą i czarną, rysowała się ostre konturami smutnie na jasnym tle nieba. Ptactwo morskie krążyło wokoło jej szczytu.

Coś poruszało się u jej stóp.

O ile zdaleka dostrzedz mogłem, gromadka ludzi stała nad wodą. Zbliżywszy się nieco, zdołałem rozróżnić ich kształty, lecz nie widziałem, co robili, zbici bowiem w kółeczko, z oczami zwróconymi na jakiś przedmiot, leżący pomiędzy nimi, zasłaniał go sobą przed moim wzrokiem. Po chwili jednak wyciągnęli się w prostej linii podwójnym szeregiem, jak gdyby chcieli skierować kroki ku tunelowi, wiodącemu do zatoki Gotowych Pieniędzy. Nieśli coś widocznie i co moment pochylali się nad tem. Co to było, rozpoznać nie mogłem z odległości. Chód ich był bardzo powolny. Już prawie zniknąć mieli w tunelu, gdy poznałem wśród nich pokraczną postać Józefa Roscorli. Wołając nań po imieniu, poskokczyłem za nim.

Na dźwięk mego głosu Józef zadrżał, odwrócił się i zatrzymał chwilę. Poczem, szepnąwszy coś do sąsiada, idącego obok niego najbliższego, podbiegł do mnie. Gdy się zbliżył, spostrzegłem że jest bardzo blady i mocno zakłopotany. Lecz przymusił się oo uśmiechu i przemówił pierwszy:

— Co to Kasper robi w tych stronach?

— Wracam do domu. Czy wujaszek Loveday widział mamę? Czy matczka ma się lepiej?

— Tak, tak... widział. Pani jest znacznie spokojniejsza. Nie ulega wątpliwości, że opieka doktora sprawi jej wiele dobrego. Lecz na co ty wracasz? Póki matka jest w tym dyablim stanie, niema potrzeby, żebyś siedział przy niej. Idź rozerwać się trochę.

— Powiedz, Joe, coście tam robili pod Skałą Umarłego?

Józef zawahał się chwilę, mruknął coś, czego nie dosłyszałem, a potem powiedział głośno:

— Nic.

— Ależ, Joe, robiliście coś, widziałem. Co nieśliście w stronę zatoki Gotowych Pieniędzy?

— Słuchaj mnie, mój chłopcze, idź się bawić i nie zadawaj niepotrzebnych pytań. Dzieci w twoim wieku nie powinny być zbyt ciekawe. Przypominam sobie teraz, że doktor powiedział, iż masz pozostać w Lizard, bo malcy zbędni są przy osobie chorej. Zatem, ruszaj nazad czempredzej!

Głos Józefa drżał w niezwykle sposób, a całe jego zachowanie się względem mnie było tak niezrozumiałe, że nie żdziwiłem się wcale, gdy Tom rzekł spokojnie:

— Kłamiesz, Joe!

Józef był według przekonania wszystkich uosobieniem prawdomówności, to też sądziłem, że wybuchnie gwałtownym gniewem. Oslupiałem. Nie zwrócił nawet uwagi na obelgę i rzekł znów do mnie:

— Kasper, mój dobry chłopcze, uykaj jak najspieszniej z powrotem.

Ton głosu jego był błagalny. Owładnęło mną nagle przynębiające podejrzenie.

— Joe, czy coś... Powiedz mi, czy mamie nie stało się coś złego?

— Nie, nie!... na pewno nie! Wkrótce będzie zdrowszą, jeśli ją pozostawisz w spokoju.

— W takim razie muszę się zobaczyć z wujem i dowiedzieć się od niego, czy w istocie mam wrócić.

Ruszyłem naprzód, lecz Józef pochwycił mnie za ramię.

— Słuchaj, Kasper, nie idź tam! Wracaj, mówię ci, wracaj! Powiadam stanowczo, że potrzeba, żebyś wrócił.

Przemawiał tonem tak rozkazującym, że odwróciłem się, żeby mu spojrzeć w twarz. Jakiś dziwny wyraz, który dostrzegłem w jego oczach, nappełnił serce moje chorobliwą obawą.

— Powiedz, Joe, coście nieśli?

Nie odpowiedział.

— Joe, co to było?

— Idź precz — wyszeptał słumionym głosem. — Idź stąd precz!

— Nie odejdę, dopóki nie zobaczę, coście nieśli.

— Idź precz, mały!... Na miłość Boską, powtarzam, idź sobie stąd precz!

Objął mnie obu ramionami i widocznie chciał pociągnąć, czy też popchnąć w powrotną drogę ku Polkimbra.

Wyrwałem mu się z objęć i poleciałem przed siebie, jak strzała wypuszczona z łuku. Józef i To-